

Odpowiednia dawka adrenaliny

ARTUR RUCIŃSKI |

Jeden z najlepszych barytonów na świecie mówi, co jest dla niego naprawdę ważne.

W: Często pan bywa w domu?
ARTUR RUCIŃSKI: Bardzo rzadko, coraz rzadziej, a następne sezony szykują się takie, że będą to niemal pojedyncze dni w roku.

I można tak żyć?

Niezwykle trudno, kiedy ma się rodzinę. Takie trzeba jednak ponosić koszty, jeśli chce się robić to, co jest pasją człowieka. Staram się zachować równowagę i od pewnego czasu nie przyjmuję już wszystkich propozycji, a gdy tylko jest możliwość, zabieram rodzinę ze sobą.

Właśnie wrócił pan z Tokio, a wcześniej był w Londynie, gdzie pański występ w „Traviacie” spotkał się z entuzjastycznymi recenzjami.

Moim debiutem w Covent Garden w 2014 roku też była rola Germonta w „Traviacie”. Wtedy wystąpiłem w nagłym zastępstwie, w piątek miałem spektakl „Falstaffa” we Frankfurcie, a już następnego dnia wyszedłem na scenę w Londynie. I dostałem potem kolejne zaproszenia, do „Łucji z Lammermooru”, „Eugeniusza Oniegina” i znów do „Traviaty”. Recenzje po ostatnich spektaklach były rzeczywiście bardzo miłe, więc są plany następnych występów w Covent Garden.

Także w 2014 roku zaśpiewał pan za Placida Dominga w Salzburgu, mając godziną próbę przed przedstawieniem. To duże ryzyko, ale chyba daje szansę szybszego wejścia w wielki operowy świat?

W naszym fachu lut szczęścia ma wielkie znaczenie. A dzięki takim sytuacjom odnalazłem w sobie nowe pokłady odporności, która bardzo potrzebna jest wtedy na przykład, gdy pojawia się stres lub



zmęczenie. Ryzyko zawsze istnieje, człowiek wchodzi na scenę zamiast wielkiej gwiazdy i może to zakończyć się kląpą, a publiczność i krytyka krótko pamięta nasze sukcesy, ale porażki zostają w pamięci na długo. Do tej pory szczęście mi sprzyjało, kiedy w 2009 roku zadebiutowałem w Barcelonie jako król Roger, maestro Daniel Barenboim zaprosił mnie do Berlina na „Oniegina”. I potem przyszły kolejne oferty, bardzo szybko po międzynarodowym debiucie otrzymałem je od nowojorskiej Metropolitan, La Scali i Covent Garden.

W Metropolitan wystąpił pan jednak dopiero w 2016 roku.

Tak, ale miałem tam zadebiutować w „Fauście” dwa lata wcześniej. Z realizacji tej produkcji jednak zrezygnowano. Za to przedtem udało mi się dotrzeć do La Scali, gdzie w „Simonie Boccanegrze” stałem się nie zastępcą, ale partnerem Placida Dominga.

Nie jest sztuką zaśpiewać w słynnym teatrze. Miarą

sukcesu jest, to czy będziemy tam ponownie zaproszeni.

Dlatego miło mi, że z Metropolitan otrzymałem kontrakty na trzy inne produkcje – m.in. nową inscenizację „Manon” Masseneta, premiera będzie transmitowana do kin na całym świecie.

Czas zastępstw się skończył?

Nie mam już na nie czasu, mój kalendarz jest zbyt zapelniony do 2020 roku. Nigdy nie godziłem się być też tzw. coverem, który ma być w gotowości do nagłego wejścia w rolę za kogoś sławniejszego, gdy dopadnie go na przykład niedyspozycja. Wszystko potoczyło się tak szybko, że mogłem ominąć ten etap. Moja kariera różni się nieco od moich koleżanek i kolegów, śpiewających obecnie w tych samych teatrach, w których mam przyjemność występować. Ominął mnie bowiem etap szlifowania umiejętności w przyoperowym studiu i w ciągu czterech lat od debiutu pod batutą Daniela Barenboima zdążyłem zaśpiewać na najważniejszych scenach operowych świata: La Scala, Covent Garden czy Metropolitan Opera.

Czuje się pan artystą ustabilizowanym?

Tak, ale w tym zawodzie nie ma nic pewnego. Wystarczy, że przyplące się jakaś choroba i plany biorą w łeb. Jesteśmy jak wycynowi sportowcy, za każdym razem, gdy wychodzimy na scenę, musimy potwierdzić formę.

Tym bardziej że wśród barytonów rywalizacja jest wyjątkowo ostra.

Baryton to naturalny głos męski, nas jest najwięcej, znacznie więcej niż tenorów. Ale nie czuję presji konkurentów, świat jest dziś wystarczająco duży, by pomieścić wszystkich dobrych śpiewaków. Jedyna rywalizacja, jaka mnie interesuje, toczy się w czasie spektaklu, i jest pozytywna, bo inspirujemy się wzajemnie po to, by osiągnąć wspólny sukces.

Był taki moment, kiedy uwierzył pan, że się panu powiedzie?

Zawsze staram się myśleć pozytywnie, może dlatego rzadko choruję, wierzę, że siła umysłu ma nieograniczoną moc. Oczywiście czasem dopada mnie przeziębienie, zdarza mi się występować z wyszkolą gorączką, bo na tyle panuję nad swoją techniką, że mogę wtedy śpiewać, utrzymując odpowiedni poziom. Natomiast był rzeczywiście moment, kiedy poczułem, że z tak opanowanym głosem i repertuarem jestem gotowy, by wypłynąć w świat. Powiedziałem sobie wtedy, że jeśli w ciągu dwóch lat nikt się po mnie nie zgłosi, zacznę jeździć do różnych teatrów na przesłuchania. Okazało się, że usłyszano mnie w Warszawie, w Operze Narodowej i zaproszenia zaczęły nadchodzić, a życie nabrało tempa.

Psychicznie też był pan na to przygotowany?

Od dziecka wiem, co to występ. Moi rodzice byli związani z zespołem Mazowsze, moja starsza siostra jest artystką, a scena zawsze była moim drugim domem. Jeśli dziś mam treść, to taką, która mnie mobilizuje. A im większa scena i więcej osób na widowni, tym bardziej czuję się uskrzydłony. Wiem, co potrafię, na co trzeba zwracać uwagę, starałem się podpatrywać i uczyć się od starszych kolegów. A głos z wiekiem nabiera mocy, przestrzeni, możemy sięgać po coraz bardziej dramatyczne role, jeśli natura plus nasza wiedza nas do tego predestynują. Długo odmawiałem na przykład roli Don Giovanniego, dopiero kiedy zaśpiewałem w różnych operach Verdiego czy Donizettiego, poczułem, że mogę się z nią zmierzyć. Zadebiutowałem w Opera Bastille w Paryżu, gdzie wszyscy pytali się, która to z kolei moja produkcja „Don Giovanniego”. I o to chodzi w tym fachu, by wyjść na scenę, kiedy jest się na to gotowym i

nikt nie bierze cię za debiutanta.

Często pan odmawia?

Coraz częściej chcę unikać sytuacji, kiedy z jednego kraju lecę wprost do drugiego. Mam inne priorytety. Znacznie ważniejsza jest dla mnie rodzina, bo nadaje sens mojemu życiu. Karierę mam wspaniałą, mogę za nią dziękować Opatrzności, ale chciałbym teraz móc odwozić syna do przedszkola i być w jego życiu obecny nie tylko poprzez Skype'a. Moja żona jest cudowną kobietą, także artystką, porusza się bardziej w muzyce jazzowej, popularnej i także z tego powodu jestem potrzebny mojej rodzinie.

Odmawiać trzeba także z powodów artystycznych.

Bywają reżyserzy i dyrygenci, z którymi spieram się w kwestii poprowadzenia roli i jej interpretacji, ale nigdy nie zdarzyło się, żebym był zmuszony odmawiać udziału w przedstawieniu z powodu braku porozumienia z realizatorami. Potrafię merytorycznymi argumentami przekonać ich do zmiany zdania. Zresztą uważam, że sztuka operowa musi ewoluować, rozwijać się i dopóki coś nie jest wbrew mojej estetyce i nie przeszkadza mi w śpiewaniu, mam otwarty umysł na różne wizje reżyserskie. A z wiekiem nasze możliwości stają się większe, dlatego w następnych sezonach będę debiutował w kolejnych rolach Verdiego w Rzymie czy w Madrycie. Odmawiam też, by kalendarz nie był zbyt zapelniony i by mieć czas na zrobienie czegoś nowego. W tej chwili wszyscy śpiewają wszystko, obowiązuje zasada, że trzeba być młodym, przystojnym i przyjmować każdą propozycję, zwłaszcza że spektakl operowy coraz częściej bywa transmitowany do kin na całym świecie, a to daje niesamowitą popularność. Transmisje wspaniale promują operę, ale sprawiają, że mamy piękny obraz i głosu, tylko że różni

artyści nie powinni śpiewać ról, które przyjmują, by znaleźć się przed kamerą. Na żywo głos jest nie do podrobienia, a scena weryfikuje: kto nadaje się do opery, a kto do musicalu. Dziś ta granica zaczyna się niebezpiecznie zacierać. Co jest ważniejsze? Głos czy aktorstwo i teatralny efekt?

Prawdę i emocje można wyrazić nie tylko w sposób aktorski, ale śpiewając.

Nie wszyscy to potrafią. Ja mam repertuar, na którym się koncentruję i nie zamierzam sięgać po coś tylko, by się pokazać. Przyjmuję role, dzięki którym będę się rozwijać. W tej chwili odmawiam Rigoleta czy Simona Boccanegrę, bo co bym wówczas robił za pięć czy siedem lat. Wcześniej na pewno zaśpiewam Makbeta, już się do tego powoli przygotowuję.

A co będzie w bliższej przyszłości?

„Trubadur” w Barcelonie, skąd prosto lecę do San Francisco na spektakle „Traviaty”, a potem do Paryża na „Cyganerię”. Na początek 2018 roku czekają mnie „I Masnaderi” w Rzymie, następnie wracam do Paryża jako tytułowy „Gianni Schicchi”. Poza Metropolitan chciałbym się skupić na Europie, wtedy mógłbym częściej przylatywać do rodziny.

Nie męczy pana fakt, że wie, co będzie robił za trzy czy cztery lata?

Nie, daje mi to komfort i bezpieczeństwo. Takie szczęście ma naprawdę niewielu śpiewaków na świecie, bo też teatry operowe w różnych krajach przeżywają kryzysy finansowe.

A gdzie jest miejsce na odrobinę szaleństwa?

Na scenie, żadnego spektaklu nigdy nie da się do końca zaplanować, dlatego zawsze gwarantuje mi on odpowiednią dawkę adrenaliny. ©

—rozmawiał Jacek Marczyński



Anna Netrebko i Artur Ruciński, „Trubadur”, Salzburg 2015